

Nr. 8. — Rok XXVI.

Dnia 12 (25) Lutego 1905 r.



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



PIEŚN.

W dodatku konkurs na kaligrafię.

Dziewczę do pieśni.

Piosenko ty moja, czy kocham ja ciebie?
O, bardziej niż złote słoneczko na niebie!
Bo słonko w mrok ciemny zapada do morza,
A ty mi w pomroku przyświecasz jak zorza.
I bardziej cię kocham niż kwiaty na łące,
Gdy pszczołki nad niemi wlatują brzęczące;
Bo kwiaty deszcz zbije, skwar letni wysuszy:
Ty dłużej, piosenko, zakwitasz w mej duszy.

O, gdybyś ty piosenko świeciła mi stale,
Dałabym za ciebie czerwone korale,
I krasę mych jagód, i jasny blask oka,
Byleś mi do duszy spływała z wysoka.
Dałabym za ciebie pierścionek mój złoty,
Jedyne bogactwo ubogiej sieroty;
Dałabym i warkocz, co spływa ku ziemi,
Przetkany wstążkami z bławatki modremi.

Piosenko, siostrzyczko, oj druchno ty miła,
Na mojeś ty serce czar pewno rzuciła,
I duszę zaklętem oplotłaś mi kołem,
To niby nad głową ulatasz sokołem.
To białą gołąbką z mgły rąbków utkana,
Po modrem sklepieniu przepływasz mi z rana.

Za tobą ja gonie, hej dalej, a dalej,
I coraz mi świecisz nadobniej, wspaniałej,
I coraz swobodniej myśl bieży do ciebie,
Oj druchno jedyna, ty gwiazdka na niebie.

A jednak piosenko, gdyby mi w tę chwilę,
Powstali ci drodzy, co śpią już w mogile,
O gdybyż mnie z grobu ta matka rodzona,
Z miłością swe dziecię objęła w ramiona;
O gdybyż ten ojciec, gołąbek mój siwy,
Wstał krzepki z mogiły porosłej w pokrzywy,
I gdyby dźwignęli te progi i ściany,
Ubogiej swej chaty od gromu strzaskanej;
I gdyby jak dawniej pod strzechą, pod niską,
Płomieniem buchnęło domowe ognisko!
O piosenko, ja ciebie, niebieską mą zorzę
W ofiarę Bogu oddała w pokorze.
Niechajbyś świeciła na lasy, na wody,
Mnie płomień by cieszył domowej zagrody;
Niechajby twe dźwięki zrodzone z tęsknoty,
Dosnuły w dąbrowie ptaszyny sieroty.
Bo nad twe, piosenko, uroki i dziwy,
Oj! droższy mi jeszcze w krynicy zdroj żywy.
Bo choć ty mi świecisz, jak zorza nad głową,
Lecz życie, och życie! cenniejsze nad słowo.
Bo kiedyś za grobem, gdy żywot się prześni,
Bóg spyta o czyny, nie spyta o pieśni!

Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskiego,

Maciej Strykowski.

(Dokończenie.)

Utwór to ciekawy dla nas ogromnie. Nie wiemy na pewno czy Strykowski był sam świadkiem opisywanych uroczystości, czy też znał je z opowiadań naocznych świadków. I w jednym i w drugim wypadku jednak opowieść jego jest nieocenionym dokumentem dla tych, których przeszłość nasza zajmuje, a że przytem wiersz płynie gładko i barwnie, więc się go czyta z prawdziwą przyjemnością. Oto np. opis poselstwa polskiego, gdy do Paryża wjeżdża.

„Wjechało ich pięćdziesiąt butno w miasto kotczych*)
Francuzów pełne drogi, chcąc widzieć strój obcych.
Dziwią się kowanym butom i czuprynom,
Szablom, sejdakom. kuczmom, rzedom jak nowinom,
Dziwią się też naszych w językach biegłości
I w łaćńskiej rozmowie wszystkich bezpieczeństwa,
Ten niemieckim, francuskim ten włoskim prawdziwie,
Ten łaćńskim, hiszpańskim...“

Dalej podaje nam autor opis przygotowanego na przyjęcie króla zamku królewskiego, gdzie:

„Świeciły w gmachach ściany nadobnie ubrane
I jedwabne szpalery, złotem haftowane“.

Wreszcie mamy wjazd królewski:

Od Krakowa do Balic, gdzie spojrzysz tam wszędzie
Každy swe hufy wiedzie w świetno-butnym rzedzie
Uszarze zewsząd płyną, jak las z proporcami,

Tarantatara wszędzie brzmi, a echo krzyczy,
Konie rzą, grzmot z zbrój, z srebra, kto wszystkich
[wyliczy.

Za szlacheckimi stany, krakowianie byli
Sto jezdnych, którzy pięknie w zbrojach się świecili,
Pieszycy cztery tysiące, wszystko w zbrojach lśniących
A ci stali przy działach, srogie głos dających,
W rozmaitych ubiorach, według cechu swego.

Potem:

„Król Floryańską bramą w Kraków wjechał,
Żaden światła wywiesić z okien nie zaniechał,
O pierwszej w noc godzinie tam wszystkie ulice
Okna i dachy pełne, ganki i przecznice,
Na Grodzką też ulicę z Rynku, w pierwszym miejscu
Bramę zbudowano, czyniąc wdzięczność szczęściu,
W około pięknie obita, na wierzchu trębaczce
Urząd swój wypełniają, aże serce skacze.

Gdzie król szedł, obracał się, skrzydły jako żyw,
[chwiął.

A teraz zabierzmy się do tej kroniki, co to nigdy przedtem świata nie widziała, a którą pomimo ogólnego tytułu dziejopis wyłącznie prawie dziejom litewskim poświęca.

*) kołczy, kocz, wóz do wożenia ciężarów i ludzi.



Dzieło to ogromne, i sporo cierpliwości trzeba, by je od deski do deski przewertować. Zaraz na wstępie, pomimo zapewnień o wysokości wykształceniu autora, uderza nas łatwo-wierność jego i naiwność, wcale nie mniejsza, niż u poprzedników. Oczywiście Strykowski sięga zwyczajem ówczesnych dziejopisarzy do przeszłości bardzo zamierzchłej i stara się wyjaśnić to, czego wyjaśnić nie jest w stanie.

Stąd moc poglądów błędnych i często śmiesznych prostru.

A więc zaraz na wstępie dowiadujemy się, że pierwotną siedzibą Litwinów były Włochy, z których książę Palemon lud swój do obecnych siedzib przeprowadził.

Spytacie może o powody, które go do tej wędrowki skłoniły? O, tych nie brak!

Strykowski, chcąc być jaknajwielostronniejszym, wszystko co w tym względzie znalazł u obcych dziejopisów, przytacza w swej kronice. Nie mogąc dla braku miejsca wypisać wszystkich, podaję wam pierwszą z kolei przyczynę przyjscia Włochów w krainy północne: „Dla suchości i głodu“.

„Hiszpańskie dzieje pierwszą przyczynę dawają, Które suchość w zachodnich krajach wyświadczają We Włoszech, Sycylii, w królestwie hiszpańskim Deszcz nie był przez kilka lat snać za gniewem Pań-
[skiem.

Pałający Syryusz rolę szczypał w skiby
I w rzekach wód nie miały łuskonośne ryby.
Lata, śmierć przynoszące, ludzi i świat mdlify
A od bladego głodu ustawały siły,
Zwiędłe lasy i pola tak nieplodne stały
Chleba kłosa zgorzałe ludziom nie dawały.
Stąd wielkość ludzi, w zimne północne frygony
Udała się ojczyste, opuszczając strony.

Pomińjąc tę kilkoletnią suszę, w którą Strykowski zdaje się wierzyć w zupełności, zwracam uwagę waszą na brak trzeźwego sądu w pozostawieniu całego zdarzenia. Włochom dokuczają brak deszczu, pakują więc manatki i wędrują do krain wilgotniejszych. Ale jaką drogą idą, dla czego osiadają w dzisiejszej Litwie, a nie gdzieindziej, jakim sposobem ze smagłych południowców zamieniają się na jasnych ludzi północy, kiedy tracą język włoski a litewską mowę zdobywają, o tem dziejopis nie myśli zgoła i pytanie takie nie kłopoce go ani na chwilę. Umyslnie podkreślam wam ten brak krytycyzmu, jak to już czyniłam przy Kadłubku, Długoszu i Bielskim.

Cięży on przez długie wieki na dziejopisarstwie naszym. Usunąć go zdołała dopiero nauka dziewiętnastego stulecia.

Jednak pomimo naiwności poglądów, Strykowski dziełem swem wielce się piśmiennictwu polskiemu zasłużył. Czerpiąc treść do opowiadań dziejowych ze starych, dziś zaginionych

kronik, uratował od zagłady mnóstwo ciekawych szczegółów, z życiem pogańskiej Litwy, z obyczajami i religią jej ludu związanych.

Zamiłowanie dziejopisa w poezji nadaje kronice dziwaczny wygląd. Ustępy prozaiczne przeplata bowiem wierszami; niestety jednak, w wierszach tych natchnienie nie zwykło mu towarzyszyć i rozpacz ogarnia nieraz czytelnika wobec nudnych rozwlekłych rymów, które z poezją nie wspólnego nie mają.

Jak zaś wygląda proza Ossostowicyusza, o tem osądźcie z przykładu.

O założeniu Wilna przez Giedymina w roku 1321.

Giedymin, bawiąc się łowami i z ostępu na ostęp przejeżdżając, przyjechał ze wszystkim orszakiem dworu swego na zgliszcze poświęcone przodków swoich, gdzie rzeka Wilna do Wilii wpada, od Trok starych cztery mile, które zgliszcza, to jest plac palenia ciał książąt i panów przedniejszych litewskich, fundował był na tem miejscu Świętoróg,¹⁾ gdzie też kapłani litewscy obyczajem pogańskim bogom swoim ofiary za dusze zmarłych książąt czynili i ogień wieczny we dnie i w nocy bezprzestanku trzymali, który to ogień Litwa i Żmudz za osobliwego boga mieli i chwalili.

Tam tedy Giedymin, około zgliszcz w puszczy pomiędzy górami, które dziś Łysemi zowią, imo innego zwierza mnóstwo sam postrzelił, tura wielkiego z kuszy i zabił go na tej górze, gdzie dziś wyżny zamek wileński, którą górę od tego tura i dziś Turzą górą zowią, a skórę i rogi jego, złotem osadzone miasto samych klejnotów długo w skarbie chowano.

Giedymin, spracowawszy się łowami, tudzież iż wieczór był zaszedł, a noc ciemna wchodziła, do Trok też nie omieszkał¹⁾, pocieszywszy się znacznie z zabitego ręką własną tura, nocował w kotarach²⁾ ze wszystkim dworem swoim na zgliszczach, a gdy po pracy, jak to bywa twar-dym snem był znużony, śniło mu się, iż na tej górze i na tem miejscu, gdzie tura ubił i gdzie dziś Wilno z zamkami stoi, widział wilka wielkiego i mocnego, jakoby blachą żelazną przeciw wszelkim postrzałom uzbrojonego, w tym wilku zaś słyssał sto wilków wyjących, których głos ogromnie roznosił. Ocuciwszy się tedy Giedymin, wpadł mu ten sen w myśl i gryzł się długo sam ze sobą chcąc zgadnąć, co by się przez to zna-czyło. Ale, iż na się trudną rzecz obaczył, naza-jutrz wstawszy ten sen wszystkim panom i dwo-

¹⁾ Książę litewski 1268 r.

²⁾ nie dojechał.

¹⁾ namiotach.

rzanom opowiedział, radząc się i pytając, co by się im ten sen zdał, a co by znaczył. Lecz ten sen i wykład nie dał się żadnemu tak zgoła zgryść, aż musiało 'przyjść na Krywę-Krywajkę, biskupa litewskiego pogańskiego, było mu na imię Lizdejko.

A ten, jako latopiśce świadczą, że Witensa ojca Giedyminowego był nalezion w orlim gnieździe, w jednej puszczy, przy gościńcu, a niektórzy powiadają, iż w kolebce ochędożnej na drzewie zawieszono sam Witenes znalazł i podał chować właściwie jako syna, a gdy dorósł, okazał w sobie dzielność nie prostego człowieka, skąd się znaczyło, iż był znacznego jakiegoś książęcego rodu, ale snąc dla zazdrości panowania jeszcze w pieluchach od macochy albo od ojczyma był tak do boru zesłany.

Ten tedy Lizdejko biskup najwyższy nieinaczej, jako Józef Faraonowi on sam o wilku na Turzej górze stojącym i o stu wilkach innych w nim wyjących tym kształtem porządnie i właściwie wyłożył „iż wilk ten któregoś widział wielki kniaziu Giedyminie, znaczy to, iż na tem miejscu zgłiszcz, przodkom twoim poświęconych będzie zamek mocny i miasto tego państwa główne, a sto wilków w tym wilku ogromnie wyjących, to znaczy, iż ten zamek i to miasto znacnością i dzielnością obywatelów swoich, tudzież wielkimi sprawami potomków twoich, wielkich książąt litewskich, rozgłosi się i rozszerzy z wielką sławą po wszystkich stronach świata.

Tak mądry a prawdziwy wykład snu Lizdejkowego Giedymin pochwaliwszy i ofiary bogom swoim na zgłiszczach odprawiwszy, wnet nie długo odkładając, obesał włości okoliczne, rzemieślników też rozmaitych i materji k'temu wszelkiej sposobniejszy, począł budować naprzód wyższy zamek na Turzej górze, na której sam z kuszy Tura wielkiego był postrzelił. Wymierzył potem plac na niższy zamek przy ujściu Wilny rzeki do Willi, tamże niższy zamek z drzewa z wyniosłemi wieżami i blankami Giedymin z wielką prędkością, ale i z wielką pilnością zbudował kosztownie. A dokonawszy obu zamków, mianował je Wilnem od Wilny rzeki; także i miasto prędko się przy zamkach nad Wilną i Willią osadziło, bo Giedymin z Trok stolicę swoją do Wilna przeniósł“.

Ustęp ten wybrałam nietylko dla jego ładnej i ciekawej treści. Ma dla nas inną jeszcze wartość. W wiele, wiele lat po powstaniu kroniki, odbija się opowiadanie o śnie Giedymina echem w sercu Adama Mickiewicza i wtedy powstanie na paryskim bruku ten słiczny wstęp do 4-ej pieśni „Pana Tadeusza“:

„Rówienniki litewskich wielkich kniaziów drzewa
Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa,

Których cień spadał kiedyś na koronne głowy
Groźnego Witenesa, wielkiego Mindowy
I Giedymina, kiedy na Ponarskiej górze,
Przy ognisku myśliwskim, na niedźwiedziej skórze
Leżał, słuchając pieśni mądrego Lizdejki,
A Willii widokiem i szumem Wilejki
Ukołysany, marzył o wilku żelaznym
I zbudzony, za bogów rozkazem wyraźnym
Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi
Jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi...

Drzewa moje ojczyste, jeśli niebo zdarzy,
Bym was oglądał znowu przyjaciele starzy,
Czyli was znajdę jeszcze, czy dotąd żyjecie?...

Marya Dynowska.



Z. Morawska.



Przygody Imć Pana Mikołajka.

Powieść z XVI w.

(Ciąg dalszy).

— Przecie nie można tak dziecka byle jak oddać z domu — przerwała pani Barbara.

— A juźci, pozwolę, aż jejmość dobrodziejka nową sztukę samodziątu uprzedzie, a kilka gęsi upasie albo i cielę dla synaczka sporządzić każe, — przedrwiwał proboszcz.

Jutro każ wymościć wóz i zaraz ze mną, miły bracie, Mikołajka odwieź, — dodał, zwracając się do brata.

— Ha, niechaj tak będzie, raz przecie trzeba coś uczynić! — rzekł ojciec, pokręcając długie wąsiska.

— Bójże się jegomość Boga! — poczęła znów pani Barbara.

— Za zdrowie jejmości pani bratowej — przerwał proboszcz, podnosząc kubek i kłaniając się dwornie.

Stuknęli się panowie bracia, pani Barbara dygnęła na podziękowanie, a chociaż nie wypadało gościowi, a do tego mężowskiemu bratu i proboszczowi, zagniewanej miny pokazywać, w sercu wszakże miała do niego wielką urazę. I z tą urazą pośpieszyła do babieńca, ażeby przy pomocy panny Korduli i innych panien służebnych dla ukochanego synaczka węzełki na drogę przygotować.

— Niech się jejmość dobrodziejka nie martwi, toć nasz Mikołajek da sobie radę i z wszelakiego terminu potrafi się wydostać, — pocieszała panna Kordula.

— A może i Chudzinę napotka!.. — wtrąciła nieśmiało Elżbietka, najmłodsza z dziewcząt.

— Nie pleć byle czego, toć Chudzina w Krakowie a nasz Mikołajek jeno do Skalbmierza — zgromiła ją panna Kordula.

Pani Barbara, zajęta swoim frasunkiem, nie słyszała ni odezwania się ulubionej Elżbietki ni fuknięcia ochmistrzyni, a, że pacholek dał znać,

iż kucharz ma już gotowy obiad, pośpieszyła do jadalni. Jeno po drodze szepnęła ochmistrzyńni.

— A drugie kumpie z dzika niech przyprowadzą w węzełek dla Mikołajka.

— A może i pieczeń cielecą, co ją dla gości oprawiają? — spytała domyślna sługa.

— Dobrze, dobrze, jeno z czosnkiem i jałowcem! — odrzekła jejmość dobrodziejka.

— Ach! — westchnęła Elżbietka — żeby do Krakowa, tobym Chudzinie szkaplerzyk posłała.

V.

Jako Mikołajek stryjowi jegomości wielką niespodziankę uczynił.

W Skalbmierzu niedługo Mikołajek popasał. Tyle że smakołyki i wędzonki z węzełków rowyjadał i figłów napłatał.

Gdy ojciec pod jesień go odwiedził i do domu wrócił, ujrzano synaczka w tyle na wozie za licznymi sepetami w sianie ukrytego. Licce miał wesołe, a snąc coś krotocwilnego rzec zamierzał.

Ale ojciec ujrzawszy go, aż osłupiał z wielkiego gniewu i gdyby nie matka, kto wie czy by się z rzemieniem naprawdę nie był zapoznał.

Skończyło się wszakże na tem, że pan Stanisław Rej, nic już nie mówiąc, kazał tylko inne konie zaprzadź a spojrzawszy surowo na syna, zawołał:

— Pojedziesz na odwrót!

Mikołajek, widząc, że to nie przelewki, nie pytał już o nic, spełnił rozkaz pokornie.

Nie oponowała też i matka, bo dostrzegła taką zmarszczkę na czole małżonka, która jej dobitnie mówiła, że wszelka perswazyja raczej zaciętość jego wzmoże.

— A dać tam, czerwoną kitajkę, com kupił dla siebie, trzebać temu nieponiowi kazać żupan uszyć, żeby mi choć wyglądem wstydu nie czynił! — rozkazał pan Rej, chodząc koło woza i poglądając na gramolącego się nań niezgrabnie Mikołajka.

— Pewnie go na koniec świata wywiezie! — westchnęła pani Barbara, patrząc na ukochanego jedynaka.

A gdy panna Kordula przyniosła owiniętą w szare płótno kitajkę, pani Barbara własnoręcznie ją w jakąś walizę chowając, uradowana była, że choć na chwilę odjazd syna się odwlecze, a może i wcale nie dojdzie do skutku.

Mikołajek tymczasem, gramoląc się na wóz, dojrzał między krzakami bzu płową główkę Elżbietki, która skradając się, jakiś niewielki pakiecik łubkiem owinięty ukazywała.

Młodzieniaszek byłby chętnie do niej pośpieszył, a zapytał, czegooby chciała, bo i w onym łubku domyślał się jakiegoś przysmaku, ale wiedział, że z pod ręki ojca teraz się nie wymiga, czuł też, że niby gwoli bezpieczeństwa pasem rzemiennym do woza zostałby przywiązany.

Panna Kordula, którejżnic nie uszło uwagi, skarciła dziewczeczkę wzrokiem, a ta zaraz

skryła się w krzakach. A gdy wóz potoczył się z podwórca, a pani Barbara płacząc udała się do alkierza, ochmistrzyńni wpadła zaraz na zastydzoną Elżbietkę:

— Cóż to za konszachty i poufałości wacpannę opanowały!?

— Ja jeno chciałam prosić imć pana Mikołajka, żeby ten szkaplerz com go wyszyła, Jaśkowi Chudzinie doręczył... — wyjąkała dziewczeczka.

— A tobie co do Chudziny! — krzyknęła panna Kordula.

Nagle przysła jej jakaś myśl do głowy, łagodniejszym już głosem poczęła:

— A skądże wiesz, że Mikołajek do Krakowa.

— Jegomość kazał dać czerwoną kitajkę, toć chyba do Krakowa, jeżeli tak strojno... — odrzekła.

— Idź mi zaraz do przedziwa! — ofuknęła ochmistrzyńni.

Ale nie gniewała się już na ulubioną przez wszystkich Elżbietkę, jeno poczęła rozważać:

— I co to w tej głowie! — człowiekowi przez myśl nawet nie podobnego nie przejdzie, a ta już sobie wykombinuje...

— A może?... może i do Krakowa, — prawda — po cóżby tak strojno Mikołajek miał się w Skalbmierzu ukazywać.

I wzięwszy przypuszczenie za pewnik, poszła z wiadomością do pani Barbary.

Matce było wszystko jedno, Kraków czy inne miasto, ona tylko wiedziała, że ukochanego jedynaka nie będzie przy niej, i nie patrząc zgoła w przyszłość, egoistycznym uczuciem gnębiona, zamysliła się głęboko.

Tymczasem ojciec nie do Krakowa, ale do brata księdza proboszcza w Topoli Mikołajka powiózł.

Jaka to tam była droga lepiej nie wspominać.

Dość jeno powiedzieć, że pan Stanisław albo nic nie mówił, jenó sapał, albo jak huknął, to aż parobek z kozła się obejrzał, a konie poczyły strzydz uszami.

Co zaś do Mikołajka ten zupełnie rezon stracił, siedział cichuteńko jak trusia.

Jaka też była rozmowa z księdzem proboszczem a stryjem dobrodziejem, też nikomu nic do tego. Wiadomo tylko, że Mikołajka odwieźć miano do Krakowa na naukę, a tego stryj dobrodziej miał już dokonać sam.

Nie bawiąc też długo, imć pan Stanisław odjeżdżał obiecując przysłać z najbliższego miasteczka żydka krawca, aby uszył dla Mikołajka przyodzievek, a też i z onej czerwonej kitajki odświętny żupanik.

-- Niech wie błazen, że niczego dlań nie żałuję! — mówił ojciec.

— Byleby jenó się uczył, toć i jabym nie pożałował, — rzekł ksiądz proboszcz.

Jedynyć to z młodej generacyi Rejów, nie można pozwolić by to imię zmarniało! — dodał.

— Nie można też byle jak między ludzi go wysłać... — ozwał się ojciec.

A skłoniwszy się do nóg starszego brata, mówił:

— Toć, przy pomocy księdza proboszcza, a łaskawego na nas brata i stryja, może da Bóg, Mikołajek wyjdzie jeszcze na ludzi.

A chociaż serce ojcowskie ścisnęło się na samą myśl, że syna w domu długo nie będzie, wszystkie alteracje pokonał i żegnając się z nim, zagroził:

— Niechno mnie posłuch dojdzie, że się nie uczysz, a uchowaj Boże, bisurmanisz, to cię na oczy widzieć nie chcę!

Mikołajek, nic nie mówiąc, objął ojca za nogi, rozplakał się na cały głos, a w duszy przemysliwał, jakimby sposobem do domu się dostać.

I oto nie wiedzieć skąd stanęła mu w oczach Elżbietka, trzymająca w ręku jakiegoś łubko.¹⁾

trzeba nam wiedzieć, że Mikołajek chcąc nie chcąc musiał owe litery kreślić i składając głosem wypowiadać.

Przynagłał go też ksiądz stryj do wyuczenia się ministrantury, Mikołajek bystry z przyrodzenia wkrótce umiał ją od początku do końca, ale tak po swojemu wyrazi poprzekręcał, że chyba sam Pan Bóg mógł tę jego służbę zrozumieć.

Ksiądz proboszcz, mając liczne zajęcia, nie mógł przecie dnia całego bratanekowi się oddawać, miał więc Mikołajek, czyli jak go tu począto nazywać *imie pan Mikołaj* dość czasu na figle, których też nikomu nie żałował.

W taki sposób przeszła Mikołajowi jesień a nawet i część zimy, która się srodze zapowiadała.



Król hiszpański, Alfons XIII, używający przejażdżki na wielbłądzie.

— Żem się też z nią nie pożegnał, ptaszków moich nie polecił, a też pewnie przygotowała dla mnie jakiś smakołyk...

Ksiądz stryj zasadził go do pisania na desce liter takich, jakie ongiś Chudzina mu nakreślił. Przypomniało mu się też zaraz, jako sobie z Chudziną postąpił, śmiech go na samo wspomnienie porwał, a nie mając teraz niczyjego nosa do prowadzenia po desce, prowadził węglem, z pod którego wychodziły najrozmaitsze dziwolągi bynajmniej do nakreślonych liter nie podobne.

Jaka po tem była z księdzem stryjem rozprawa, lepiej już nie wspominać, to tylko

— Że też ten krawiec nie przychodzi, żeby chłopaka jako tako oporządził... — mówił od czasu do czasu proboszcz.

— Ja sam pragnąłbym już mieć lepszy przyodziewek... — wtrącił kiedyś imie pan Mikołaj.

— Nie chodzi o twój przyodziewek, jeno o to że wielki czas, by cię do Krakowa odwieźć! — ofuknął stryj.

— Właśnie, właśnie, ale jakże bez przyodziewku? — wtórował bratanek, śmiejąc się po cichu.

— W wytartej katanie albo i półkożuszku nie mogę przecie młodego Reja ludziom pokazać... — myślał sobie stryj.

A tu jakoś obiecany krawiec wcale się nie pokazywał. Obchodził okoliczne dwory, a że to jak zwykle w jesieni i zimą każdy potrzebował kożucha, to oponczy, to skórzni,

¹⁾ Pudełko z kory splecione.

Konkurs na kaligrafię.

Hej do pracy w licznych gronie
Chodźcie, pióra wzięwszy w dłonie,
Bo znów oto konkurs nowy.
Czytajcie, jakiej osnowy!...

„Dbajmy o kaligrafię“, artykuł pod tym tytułem w dzisiejszym numerze „Wieczorów“ podany, poucza naszych czytelników o potrzebie i pożytku wyraźnego i pięknego pisania, więc chcąc ich zachęcić do kształcenia się w tym kierunku, za przykładem lat ubiegłych ogłaszamy konkurs na kaligrafię dla pań i chłopców, nie mających skończonych lat 11-tu.

Warunki konkursu są następujące:

1) Każdy uczestnik konkursu powinien przysłać starannie napisaną w dwóch liniach próbę pisma, przyczem 11-to i 10-cio letni winni przepisać 40 wierszy, 9-cio i 8-mio letni po 25 wierszy, a wszyscy młodszy po 15 wierszy z wybranego przez siebie dowolnie ustępu.

2) Do próby pisma powinny być dołączone: *imię*, *nazwisko* i pseudonim (o ile sobie kto nie życzy aby nazwisko ogłaszano), *dokładny wiek* oraz *szczegółowy adres*.

3) Na kopertach trzeba zrobić dopisek „konkurs na kaligrafię“, a do wnętrza nie należy wkładać żadnych zleceń do redakcyi ani listów do Jaskółki, gdyż koperty z kaligrafią otwierane dopiero będą po upływie naznaczonego terminu.

4) Adresować należy do Redakcyi „Wieczorów Rodzinnych“ w Warszawie, ul. Mazowiecka № 10.

5) Termin nadsyłania prób 10 kwietnia roku bieżącego.

* * *

Niezależnie od powyższego ogłaszamy jednocześnie konkurs na kaligrafię i dla wszystkich starszych czytelników i czytelniczek naszych.

Konkurs dla nich polegać będzie na przysłaniu prób pisma niezwykłego, jak np. randa,

gotyku itp. z ozdobami artystycznymi, inicjałami itp. własnego pomysłu lub naśladowanymi, z zachowaniem jednego stylu.

Próba musi składać się przynajmniej z jednej karty.

Inne warunki konkursu pozostają te same co i dla młodszych (patrz punkty 2-gi do piątego włącznie).

Nagrody w książkach i różnych niespodziankach.

Ogłaszając po raz pierwszy konkurs na kaligrafię i dla starszych prenumeratorów „Wieczorów“, mamy nadzieję, że wezmą w nim udział nie mniej chętnie od swych młodszych towarzyszy i towarzyszek, ci wszyscy, którzy mają zdolność i zamiłowanie do sztuki i jej stosowania.

Redakcyja.



Ah-ni-ghi-to.

Dzieweczka z krainy śniegów.

Przekład z ang. M. G.

VII.

„12 września 1905“.

„Moje urodziny! Nie myślałam, wyjeżdżając z domu, że je tu przepędzę. Babunia obiecywała, że wyprawi mi urodziny, ale wyręczyła ją tu mateczka, i dzień był bardzo miły. Przyszedszy

do kajuty zastałam śliczny czekoladowy torcik: paliło się siedm świeczek w nim zatkniętych. I lalkę—ah! taką śliczną, w różowej jedwabnej sukience z różową szarfą, w białych pończoszkach i białych z kozłowej skórki trzewiczkach. Będzie to moje najładniejsze dziecko, nazwałam ją *Lois*, tak jak się nazywa ta dziewczynka z Sydney, która była bardzo dobra dla mnie. Parę pantofelków z prawdziwego futra foki, sukienkę, pudełko czekoladek, dwie duże sztuki złota, i jedną małą. Majtkowie prosili kapitana, żeby im pozwolił zatknąć na maszcie flagę z powodu moich urodzin i pozwolił. Trzy razy zawołali „niech żyje!“ kiedy zaciągnęli flagę. Mateczka kazała zrobić cały dzban gorącego grogu*) i pokrajać dyży tort, a potem ja i Karolek chodziliśmy i częstowaliśmy wszystkich majtków. Zaprosiłam kapitana Sama i starszego mechanika do nas na herbatę. Stół bardzo ładnie wyglądał ze świeczkami palącymi się na torcie i bawiliśmy się wesoło w różne gry, ale ja często myślałam o tatusiu, że byłoby weselej gdyby był z nami. Nie miałam nic dla Eskimosów, oprócz kawy i biszkoptów, które lubią, i cukru lodowatego o który nie dbają, ale bawili się dobrze, szczególnie moją lalką. Myśleli, że żywa, bo ma prawdziwe włosy i może zamykać i otwierać oczy“.

Ahatingwah była nieodstępną towarzyszką *Ah-ni-ghi-to* i bawiły się dobrze razem. Ojciec małej Eskimoski już nie żył. Mors*) przebił go w wodzie, i utopił. Ale jej matka, *Aweah* poszła drugi raz za męża, i ojczym opiekował się dziewczynką. Miała dwóch rodzonych braci a jednego przyrodniego.

Jeden z jej rodzonych *Ahng-ood-loo* był „kapitanem“ ludzi pracujących dla ojca *Ah-ni-ghi-to* i mężem Eskimoski „Bili Bah“, która była pierwszą piastunką *Ah-ni-ghi-to* i jeździła z nią do Waszyngtonu, gdzie przepędziła cały rok przed powrotem do Kraju Śniegów.

Ahngoodloo był jednym z dwóch „mańkutów“ w całym swoim pokoleniu i najlepszym myśliwym. Bardzo był przywiązany do ojca *Ah-ni-ghi-to* i zawsze był przy jego boku.

Ahatingwah miała też i drugiego brata *Wee-sha-kup-sie*, który cały rok przebył w Nowym Jorku, i powrócił do ojczyzny z ojcem *Ah-ni-ghi-to*, gdy ten wyruszył w podróż do bieguna. Dlatego *Ahatingwah* znała obyczaje *Kabloonah* (białych ludzi) lepiej niż ogół jej ziomków.

*) Woda z arakiem.

*) Mors—zwierzę płetwonogie, długie 5 metrów, żyje w morzu lodowatym. Ma długie, na dół opuszczone wąsy, a w górnej szczęce dwa potężne kły służące mu do wspinań się na skały i obdzierania z nich porostów i muszli którymi się żywi. Dla tych zębów ludzie polują na niego i zabijają rocznie po kilka tysięcy sztuk.

Włosy miała zawsze gładko uczesane, twarz i ręce czysto umyte gdy przychodziła bawić się z *Ah-ni-ghi-to*. Na nogach miała żółte „kamiki“ z wyprawionej skóry foki, a przed wejściem na



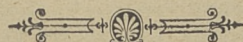
Achatingwah i Anweahgood'loo.

statek wycierała je śniegiem dla oczyszczenia. Spodeńki z futra białych i niebieskich lisów nacierala też śniegiem i trzepała nożem zrobionym z kłów morsa, dopóki nie wyglądały jak nowe. Wszedłszy do kajuty zdejmowała zaraz swoją *kapetach* (płaszcz z kapturem) ze skór lisich, a jej koszula z ptasiej skóry była zawsze biała i czysta.

Dni robiły się coraz krótsze, i wkrótce nadszedł taki dzień, kiedy słońce wcale już nie ukazało się w małej przystani, i tylko w południowej stronie widać było na widnokręgu, okrągłą, żółtą kulę. Było to znakiem, że wybrało się ono w podróż na południe, i będzie z daleka od Kraju Śniegów aż do 21-go grudnia. Wtedy powróci, ale dopiero w połowie lutego zabłąśnie nad główką *Ah-ni-ghi-to* i nad poczciwym „Windwardem“.

Postanowione już było, że statek musi pozostać w lodowym łożu przez całą nadchodzącą zimę, wiosnę i część lata, więc każdy starał się urządzić wszystko jak najwygodniej; bo gdy słońce zniknie nastaje srogiem zimno i północny wichor, wciska się każdą szczeliną i każdym otworem.

(d. c. n.)



U Chomika.

Kto pracował całe lato,
Może w zimie spocząć za to.
Chomik pełne ma śpichlerze,
Lecz napocił się też szczyrze.
Do wieczora, od poranku,
Znosił ziarna bezustanku.
Gdy nadeszła wreszcie zima,
Żadnej troski o chleb nie ma.
I niechaj się każdy dowie,
Że jak *stare* chce *przysłowie*
Miał zapas: „Dla ptaka,
Dla robaka,
Dla złodzieja.
I dla dobrodzieja.“

Dzisiaj przywdział kubrak suty,
Pas jedwabny, ciepłe buty,
Stuka laską, kręci węża,
A z próżniaków się natrzęsa.
Lecz go nudy dręczy zmora,
Kawał jeszcze do wieczora!
Przecież będzie jaka rada,
Trzeba huknąć na sąsiada:
— Panie Krecie! hej sąsiedzie!
Drzemiesz pewnie po obiedzie,
Więc jeżeli wola wasza,
Przyjdźcież do nas na „marysza“.*)
Kret przez ścianę miał mieszkanie,
Wnet się stawił na wezwanie,
Cały w aksamit ubrany,
Budowniczy zawołany,
Zwierz spokojny i stateczny,
A Chomika druh serdeczny,
Małomówny, nie krzykliwy
Do głębi serca uczciwy.
— Witaj bracie! w mojej chacie,
Cóż u siebie porabiacie?
A co słyhać tam na górze.
„Ha! zawsze śniegowe burze,
Lisy po krzakach grasują,
Wszędzie za nami myszkują,
A drapieżne kuny, koty,
Różne wyprawiają psoty.“
— No! niech sobie, u nas cicho,
Niech śpi lichy! niech śpi lichy!
Przy stoliku zasiadajmy,
I partyjkę zaczynajmy. —

Kret przy oczach karty trzyma
A Chomik coraz się żyyma,
Coraz burczy, coraz łaje,
Takie już ma obyczaje.
Szczery w sercu, w mowie prędko

Nie wytrzyma bez gawędki.
Pan Kret „z czterdziestu“ zagrywa
Chomik ciągle grę przerywa.
— Oj! źle u mnie panie bracie!
Niema ładu w mojej chacie,
Odkąd mi umarła żona,
Prawdziwa głowy korona.
— Dolaż moja nieszczęśliwa.
— A syn Waści gdzie przebywa.
— Ot, tam siedzi w drugiej dziurze.
Zatopiony w swej lekturze,
Znalazł pono jakieś druki,
W nich ma być źródło nauki.
— A czemuż to, miły bracie,
Żony mu nie poszukacie.

(d. u.)



Kto lepszy?

Dziesięcioletni Oleś, lubił bardzo psy, których kilka znajdowało się u jego rodziców mieszkających na wsi. Kudłaty Burek, żółty Łobuz i czarny Rozbój, tęgie podwórzowe brytany, co noc wraz ze stróżem pilnowali mienia swoich chlebobawców, we dnie za to wylegając się w budzie ustawionej obok stajni. Biały w brązowe łąty wyżeł, był ulubieńcem ojca Olesia, któremu służył na polowaniu, a nieduży czarny podpalany piesek Filut, był własnością Olesia, od chwili gdy chłopczyk będąc z mamą w mieście, znalazł na ulicy biedną bląkającą się wychudzoną psinę, którą przywabiwszy kawałkiem bułki, zabrał do domu.

Wdzięczny Filut żywiony resztkami śniadania i obiadu przez swego młodego pana, stał się nieodłącznym jego towarzyszem i przyjacielem, wszędzie za nim biegając, lub oczekując z niecierpliwością pod drzwiami pokoju, w którym Oleś odrabiał lekcye z nauczycielem, a gdy chłopczyk wychodził, Filut witał go radośnie kręcąc ogonem i skacząc z wielkiej uciechy.

Biegli wtenczas do ogrodu lub w podwórze, Oleś szczał truwające swobodnie wróble i skrzeczące na drzewach wrony, za którymi Filut rzucał się w pogoń jak szalony, głośno szczekając z czego chłopiec śmiał się serdecznie. Jeśli Oleś jechał z tatusiem w pole na spacer, Filut biegł obok bryczki wraz z Asem, wyżłem, z którym żył w przykładowej zgodzie, tylko lękał się niezmiernie podwórzowych brytanów i trzymał się od nich z daleka.

Oleś dobrym był chłopczykiem, posłusznym dla starszych i pilnym w naukach, jedną miał

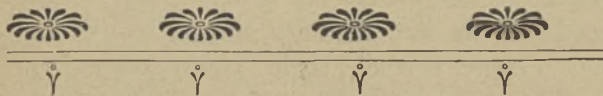
*) Maryasz — staropolska gra w karty.

tylko wadę, że lubił wciąż płać figle i psoty nie zastanawiając się nad złymi ich skutkami.

Pewnego razu będąc w podwórzu, podszedł do budy brytanów, a widząc je śpiące po całonocnej bieganinie, powziął myśl nastraszenia ich, pochwycając Filuta wrzucił go do budy między śpiochów. Obudzone brytany, rzuciły się z gniewem na nieproszonego gościa, byłyby go z pewnością zagryzły, gdyby nie krzyk Olesia i ratunek stróża, który wydobył biednego psiaka pokaleczonego i przeraźliwie skowyczącego.

Oleś nie śmiał zbliżyć się do pokrzywdzonego przez siebie przyjaciela, wstydząc się swego czynu, iecz Filut widząc swego pana, przyczołgał się na trzech łapach skomlać żałośnie i począł lizać rękę jego, patrząc mu w oczy. Łzy rozrzewnienia i wstydu potoczyły się po twarzy chłopca, a przytulając do siebie pieska uczynił w duszy postanowienie nigdy już nie płać niemądrych figlów.

M. R. S.



Zadania i łamigłównki.

Logogryf.

ułożył W.

Z następujących 43-ch zgłosek: al—an—an—ar—bab—bel—chi—ci—cy—da—e—ga—gli—go—i—ka—la—le—lot—lu—mie—mir—mia—mo—mo—ua—nau—nie—niec—niec—no—nów—or—ra—szek—szy—tar—ty—wicz—wicz wy—za—zya należy ułożyć 15 wyrazów, których początkowe i końcowe litery czytane z góry ku dołowi, dadzą tytuły dwóch utworów znanego pisarza polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1) Przysłowiowy bogacz. 2) Imię żeńskie. 3) Nazwa wodza u Arabów. 4) Szczegół dawnego stroju polskiego. 5) Naród wschodni. 6) Imię słowiańskie. 7) Współczesny malarz polski. 8) Miasto w Galicyi. 9) Naród. 10) Miejscowość słynna z klasztoru tam zbudowanego. 11) Żeglarze greccy. 12) Część ciała ludzkiego. 13) Dawny poeta polski. 14) Przyrząd do oświetlania. 15) Prowincya w Hiszpanii.

Łamigłównka literowa.

ułożył Kwintus.

Pierwsza piąta — w mowie
Druga szósta — w sowie
Trzecia siódma — w szrankach
Czwarta ósma — w sankach

A całej utwory
 Drukują «Wieczory».

Zagadki wprost i wspak.

ułożył X. Y. Z.

I.

Wprost przedstawiciel narodu,
Wspak pojąć — trzeba zachodu.

II.

Wprost między dwiema górami,
Wspak między dwiema rzekami.

III.

Wprost iglastych drzew skupienie,
Wspak do pracy przynaglenie.

Rozwiązania do N-ru 5-go.

Szarady: A-la-ba-ster.

Figla rebusowego: Sowa lub Mewa.

Łamigłównki głoskowej: Pracuj o słońcu, a śpij o miesiącu.

Zagadki w obrazku: Odwróćmy obrazek z dołu do góry ujrzymy jednego wilka z lewej strony u góry, obróćmy następnie obrazek w poprzek zobaczymy drugiego z prawej strony u dołu.

KONKURS „UCZONYCH“.

Przypominamy nasz konkurs „uczonych“ z nagrodami (p. Nr. 5—6), otrzymaliśmy kilka listów zaledwie, a chcielibyśmy mieć poważną liczbę głosujących. Niektórzy wymieniają nieprawidłowo poetów i filozofów, dla tych będzie nowy konkurs.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

T. Węglińskiemu. Żądane wiadomości podamy w przyszłym numerze.

Trafne rozwiązania łamigłównek z ostatnich numerów nadesłali: Złota Strzałka, Sokół Litewski, S. Kobryner, Tola z Tomaska, Jurand, Józio i Helcia Karasińscy, Edward Kalinowski, Jerzy Sz wajcer, Samuraj i Antos Kozłowski.

Zadania i łamigłównki Promienia, Kapitana Nemo, Niebieskiej Perelki, J. Pogońskiej, Jerzego Sz wajcera, Kwintusa i Kalinowskiego, zaliczone zostały do druku.

Gabc czy też **Sabc** (nowej, a piszącej niewyraźnie prenumeratorce «Wieczorów») Mylnie jest podana nazwa wyspy, stanowiącej temat łamigłównki.

UWAGA. Niektórzy z czytelników przepisują łamigłównki z innych pism i nadsyłają je do redakcyi, jako przez siebie ułożone. Czyżby nie wiedzieli o tem, że podawanie cudzej pracy za swoją jest rzeczą bardzo a bardzo nie ładną.

to katemby, — a też i delikatniejszych szat, jak żupana, ferezy, kontusza i t. p., nie dziwi więc, że żydzina, rozrywany na wszystkie strony, do Topoli się nie śpieszył.

— Już ja gdzie złapię tego niedowiarka i choćby gwałtem do Topoli przywiode! — rzekł ksiądz proboszcz, wybierając się jakoś w adwencie na dłuższą nieco podróż.

— A żebyś mi przez ten czas doskonale alfabetu wypisywać się nauczył! — przygroził bratankowi na pożegnanie.

— O! — odrzekł imć pan Mikołaj.

Skłonił się stryjowi i mrugnął jednym okiem na Pietrka, pachołka do posług księdza proboszcza, a współnika wszystkich figłów.

Jegomość wyjechał a bratanek prychnął jak młody źrebiec, podskoczył i na Pietrka skinął.

— Wyłowimy wszystkie wrony, bo straszna szkodę czynią w stodołach! — rzekł Mikołajek.

— Zaś, tyła ich! — mruknął Pietrek z niedowierzaniem.

— Już ja znajdę na nie sposób! — odparł młody Rej.

— Dopieroż się to stryjo ucieszy, gdy się dowie, że te szkodniki wyplenił.

Zabrali się też razem z Pietrkiem do budowania nowych sideł, a i gniazdom wronim nie przepuścili.

Napracowali się nad onemi sidłami, aż Mikołajek sam sobie się dziwił, powtarzając:

— Mówią że m próżniak, a takie sidła zrobić nie każdy potrafi!

— Ba! — przyświadczył Pietrek z wielkim uznaniem.

— A to jeszcze nie koniec! — mówił Mikołajek z pewną chełpliwością.

— O! — zdziwił się Pietrek.

— Zobaczysz! — odrzekł mu bratanek proboszcza, próbując czy sidła dobrze spuszcza.

— Pstryk! zawołał z radością Pietrek nadsładowując kłapnięcie sideł.

— Rozstawimy je? — spytał.

— Jeszcze nie, jeszcze coś przygotujemy! — mówił Mikołajek z taką miną, jak gdyby Tata-rów pogromił.

Potem namyśliwszy się, rzekł:

— Albo chodźmy zastawić sidła, nim się złapią będziemy mieli czasu dosyć na chorągiewki...

— Jakie chorągiewki? — spytał ciekawie Pietrek.

— Obaczysz!

I poszli zastawiać sidła.

(d. c. n.)

Henryk Wernic.

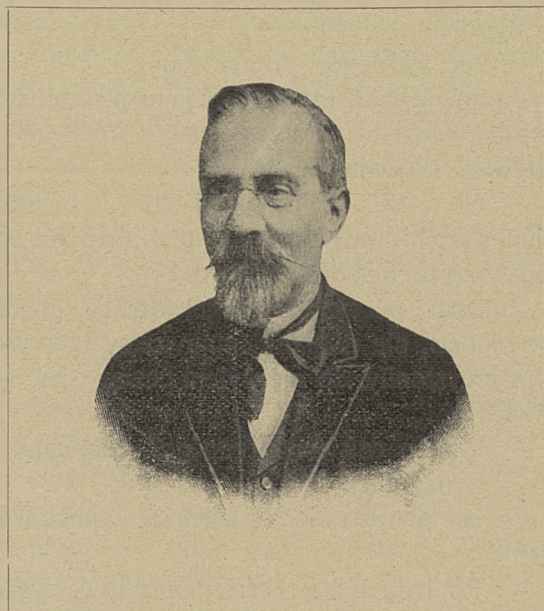
„W mężu, którego śmiertelne szczątki przysypie za chwilę ten piasek mogilny, traci społeczeństwo nasze prawdziwie zasłużonego traci rozmiłowanego w ciężkim zawodzie a wykształconego nauczyciela, któremu los wytra-

cił z dłoni jedno narzędzie działania, lecz nie zdołał wydrzeć istotnej siły ducha, a więc żywego źródła wszelkich działań naszych“.

Temi słowy rozpoczął prof. Kazimierz Król swą mowę pogrzebową nad trumną s. p. Henryka Wernica w d. 10 stycznia r. b.

Zasłużony ten pedagog, urodzony w Warszawie w 1828 roku—całe swe życie poświęcił pracy wychowawczej bądź jako nauczyciel, bądź jako pisarz. Chcąc zaś uczyć innych — chciał przedewszystkiem wydoskonalic siebie w tym zawodzie — i dla tego w dojrzałym już wieku kosztem nawet wielu prywaty studyował i badał zagranicą najnowsze metody nauczania.

Ś. p. Henryk Wernic pisywał wiele dla dzieci, zarówno w „Wieczorach Rodziny“, jak i w innych pismach dla młodzieży.



Zabierał często głos w „Przeglądzie Pedagogicznym“ i wydał kilka cennych dzieł, z których wymieniamy najważniejsze: „Przewodnik wychowania“, „Nauka o rzeczach“, „Poga-danka o życiu“, „Historja Powszechna“, i t. p.

Spuścizna to poważna, a tem większa, jeśli uprzytomnimy sobie, że ś. p. Henryk Wernic w 40 tym roku życia, a w 1868 r. zaniewidział, a wkrótce potem utracił ukochaną małżonkę.

I nie opadły mu ręce, nie zwątpił w Opatrzność, ani w swe siły, ani w moc obowiązku prawego człowieka. Nie ustał w drodze i choć musiał się ograniczyć, aż do ostatnich dni niemal pracował, dyktując swe książki i artykuły i śledząc rozwój nauk i życia społecznego.

Wielki to przykład dzielnego, wytrwałego i szlachetnego serca.

J. B.

7)

Wawrzyniec Zeal.

—i*!—

TALIZMAN WŁADZY.

Przekład M. G.

Metalowe pudełko z talizmanem spoczywało w mojej kieszeni, od chwili opuszczenia Nowej Zelandyi. Co się chce ukryć przed złodziejem, najlepiej mieć ciągle przy sobie. Nie rozstawałem się z talizmanem. Przebierając się—przekładałem go z kieszeni jednego ubrania do drugiego, idąc do kąpieli miałem go w kieszeni szlafroka—w nocy pod poduszką.

— Co się stało, panie Zeal? — zagadnęła miss Earl, gdym się napowrót rozłożył na krześle.

Myślałem, że spała.

— Nic ważnego — odrzekłem.

— Ale jednak musiał być jakiś powód, który skłonił pana do poruszenia się z miejsca? — dopytywała się natarczywie.

— No, tak... zginęło mi coś i pytałem skarbnika czy nie mógłbym tego odszukać, ale powiedział, że to niepodobieństwo.

Zdawało mi się, że w jej oczach mignął błysk radości, ale długie ciemne rzęsy tak prędko je przysłoniły, że nie byłem pewny czy się nie mylę.

— Czy to coś drogiego? — zapytała.

— Bynajmniej.

— Na pewno nie? — nalegała z niedowierzaniem.

— To była tylko stara pamiątkowa cygarniczka, którą lubiłem.

— Ale może wewnątrz było coś, co ma wartość? — pytała dalej.

— Nic drogiego w każdym razie — odrzekłem, śmiejąc się. — Pewny jestem, że ten co ją wziął będzie tego samego zdania.

Niebieskie jej oczy wpatrywały się we mnie badawczo i z pewnem niedowierzaniem.

— Może to być coś droższego, niż się panu zdaje? — zapytała.

— Nie! — odpowiedziałem krótko. — Rzeczy mającej wartość nie pozwoliłbym sobie ukraść. To co ma wartość, warte jest strzeżenia.

— I warte znalezienia — dodała, śmiejąc się i tłumiąc westchnienie.

Przyniesiono herbatę i na tem skończyła się nasza rozmowa,

Ale podejrzenie, że miss Earl — Barbara jej było na imię — ma udział w poszukiwaniu *Talizmanu władzy*, zaniepokoiło mine silnie. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się doznać tego uczucia żywej przyjaźni, jakie ona obudziła we

mnie. Zdawało mi się, że jest ze mną szczerą, a pociągało mnie do niej właśnie to obejście prawie koleżeńskie, pełne prostoty i swobody. Ale pomimo całej szczerości, czaiło się w głębi coś niewyraźnego. Chwilami widziałem w jej oczach wyraz błagalny — coś czego nie mogłem zrozumieć. Stopniowo zaczynało się budzić we mnie przekonanie, że Barbara Earl ma jakąś troskę — że potrzebuje powiernika, może nawet przyjaciela — ale, że nie wolno jej zadowolić tego pragnienia. A podejrzenie, że ma udział w poszukiwaniu talizmanu, i że jest w jakiś tajemniczy sposób złączona z Chińczykami, którzy dwukrotnie usiłowali go wykraść, coraz silniej utwierdzało się we mnie.

Zdawało mi się to potwornem, aby taka panienka mogła być wplątana w podobną sprawę. W jaki sposób zawikłała się ona w tę rozpaczliwą intrygę? Co tam miała do roboty? Czy jej życzliwość dla mnie była tylko sztuczną maską? Może usiłowała się ze mną zaprzyjaźnić skutkiem planu ułożonego zawczasu i w jakimś celu? Myśl ta sprawiała mi przykrość i, wpatrując się w jej łagodną, delikatną, ożywioną twarzyczkę, gdy podczas gwiazdzistych nocy siedzieliśmy na pokładzie spokojny bieg statku, pozostawiającego za sobą strumienie fosforycznego światła, nie mogłem wątpić, że to czysta i wzniosła dusza. Jakież węzły mogły ją łączyć z chińskimi napastnikami z obozowiska?

Gdy tak stała oparta o balustradę, światło z pokładu padło na dziwny klejnot jaki nosiła na rękę. Pochyliłem się i dotknąłem go. Był to amulet z zielonego jaspisu, rzeźbiony w sposób niezwykły. Sądząc z opisu Tanawhy, można było przypuścić, że jest podobny do drogiego talizmanu,

Gdym się mu bliżej przyjrzał, zobaczyłem jednak, że jest wielka różnica między niemi. Był pokryty podobnemi rysunkami, ale znacznie mniejszy od tej połowy talizmanu, którą miałem w swem posiadaniu. I kształt był także odmienny, brzegi zaś poszczerbione od ciągłego noszenia.

— Skąd to pani ma? — zapytałem,

— Ojciec mi dał, nie chciał nigdy powiedzieć, skąd dostał. Ale przypuszczam, że to musi być bardzo stare..

— Mogę panią upewnić, że to rzecz odwieczna.

Spojrzała na mnie bystro.

— Skąd pan to wie? — zapytała.

— Widziałem coś podobnego—odrzekłem, postanowiwszy zbadać, co ona wie o *Berle Świata*.

— Widział pan? I gdzie? Mówiono mi, że to jedyny w świecie okaz, że niema nigdzie nic podobnego.

Była widocznie bardzo zaciekawiona.

— O! nie—odrzekłem od niechcenia.—Słyszałem już o podobnym amulecie.

Zdumiał mnie wyraz prawie bolesnego namiętności na twarzy Barbary, gdy usłyszała te słowa. Wiedziała więc o mojem podejrzeniu.

Czułem że muszę wyjaśnić tę sprawę—tak lub inaczej. Chciałem się upewnić za jakąbądź cenę.

— Dawno już temu opowiadał mi o tem jeden z moich przyjaciół. Mówił, że to rzecz bardzo drogocenna; jaspis, jak pani wiadomo, jest bardzo ceniony w Chinach, a oprócz tego rzeźba na nim była tak starożytna, że zbieracze nie cofnęliby się przed żadną ceną dla zdobycia tego amuletu ..

— A co się z nim stało?—szepnęła z wysiłkiem.

— O! nie sądzę, żeby mój przyjaciel go sprzedał — odparłem. — Myślę, że ma go do tej pory.

— Czy myślisz pan, że sprzedałby go?

— Zależy to, przypuszczam, od ceny jakąby mu dano—odpowiedziałem.

Niebieskie jej oczy zapłonęły. Błysnęło w nich coś wyzywającego.

— Znam zbieracza, który dałby za taki amulet cokolwiekby zażądano—odezwała się. Dla niego ma on wartość nieoszacowaną, i oddałby cały świat za jego posiadanie. Mówię zupełnie poważnie i upewniam, że za to o czem pan wspominałeś, znajomy mój dałby pańskiemu przyjacielowi, coby tylko zażądał. Powiedz mi pan, gdzie on jest? mogę panu dać dowody, że mówię prawdę.

— A w jakiz sposób możesz pani tego dowieść?—roześmiałem się. Czy oddasz mu skarby całego świata — czy masz nieograniczony kredyt w banku?

— Dam tylko znać memu znajomemu, gdzie jest pański przyjaciel—ten, który posiada amulet z zielonego jaspisu—a w odpowiedzi dostanę telegram, ofiarowujący mu in blanco ile zażąda. Pański przyjaciel może wpisać cenę jaką zechce. O! wierzaj mi pan, że mówię zupełnie poważnie .. To jest człowiek bajecznie bogaty!

— Obawiam się, że mój przyjaciel nie da się skusić—odparłem. Wie on, że to co posiada, ma dla kogoś wielką wartość; co gorzej, że to człowiek uparty, który nie odstąpi od swego. Pewny jestem, że byłoby bezużyteczne—zupełnie bezużyteczne — kusić go, aby się wyrzekł tego amuletu. Radziłbym, jeżeli pani na tem zależy —

wyrzec się nadziei zdobycia go. Jest to niepodobieństwem. Mój przyjaciel postanowił zatrzymać amulet być może, iż chce z niego zrobić użytek.

Mówiąc to śledziłem zmianę na twarzy miss Earl.

Ożywienie znikło pod wpływem moich słów stanowczych. Twarz jej postarzała, wystąpił na niej wyraz znużenia. Zastanawiałem się, jakie znaczenie miał dla niej ten talizman, że tak gorąco pragnęła go zdobyć?

Milczała przez chwilę. Światła na pokładzie pogasły i byliśmy sami w ciemnościach nocy. Statek płynął po spokojnem morzu, pozostawiając za sobą szlak fosforycznego światła. Zdawało mi się, gdym patrzył na smukłą postać Barbary pochylonej nad wodą, że maluje się w niej rozpacz i bezsilność. I nagle obudziła się w mej duszy chęć zaopiekowania się nią, obronienia jej przed niebezpieczeństwem. Zdawało mi się potwornem, żeby to delikatne dziewczętko miało dźwigać ciężar podobnego zadania. Jej wątłe siły nie mogły sprostać mocom, które ją opłatały. Było to coś niesprawiedliwego, nieszlacheckiego!

Stanąłem obok niej. Podniosła ku mnie głowę. W oczach jej błyszczały łzy, mimowolnie położyłem dłoń na jej ręce.

— O co pani idzie?—zapytałem.

— Przypuśćmy, że jest niezbędną koniecznością zdobyć ten talizman—zaczęła Barbara.— Przypuśćmy, że to dla mnie ważniejsze od życia; przypuśćmy, że zdaję się na łaskę pańskiego przyjaciela, i że odwołam się do jego serca, do jego dobroci.. Czy pan myślisz, że będzie tak okrutny i odmówi mi?

— Tak!—odrzekłem z powagą — sądzę, że mój przyjaciel odmówi. On wie, że nic dobrego nie wyniknie, jeżeli pani posiędziesz talizman, i będzie usiłował wydobyć panią z tej sieci intryg, w którą się zaplątałaś. Odmówi ci dania talizmanu, bo wie, że tą odmową dopomoże ci do wyzwolenia się.

— Ale kiedy ja pana upewniam—odrzekła — że dla mnie jest koniecznością zdobycie tego talizmanu—i to wkrótce, bardzo prędko!

Ogarnęła mnie wielka litość nad tą biedną dziewczyną. Wziąłem ją za rękę i uściśnałem ze współczuciem. Była tak wzruszona, że pozostawiła rękę w mojej dłoni. Czułem, że ustąpię i uczynię to czego żąda...

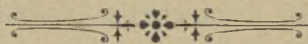
Nagle twarz jej zmieniła się. W oczach błysnął wyraz tryumfu, zwycięskiej pewności siebie...

Puściłem jej rękę i odsunąłem się. Zrozumiałem wszystko. Było to udawanie. Grała komedię i dobrze grała. Była już bardzo bliska zdobycia talizmanu. Ale w porę poznałem

się na zdradzie. Poznałem się na jej udanych łzach!

— Dobranoc, miss Earl — powiedziałem krótko i odszedłem.

W chwili gdy schodził do kajuty, odwróciłem się i zobaczyłem, że stoi ciągle na tem samym miejscu. Było w jej postaci beznadziejne zgnębienie. Przez chwilę miałem pokusę powrócić do niej, ale ręka moja dotknęła talizmanu, ukrytego w kieszeni... i zszedłem pod pokład.
(d. c. n.)



Dbajmy o kaligrafię.

Kupiec, przemysłowiec, fabrykant, mający obszerną korespondencję, otrzymuje list z podpisem, którego ani sposób odczytać. Szereg łaseczek lub węzełków, ale odgadnąć z nich brzmienia nazwiska — niepodobna. Tutaj jeszcze tyle szczęścia, że bądź u góry bądź u dołu wydrukowana jest firma, więc można do niej adresować, chociaż nazwisko jest nieczytelne.

Ale gorzej z setkami listów prywatnych, a nieraz i urzędowych. Z nimi trzeba się nieraz rachować i nazwiska na kopercie wypisać, a tu ani rusz. Z zygzaków i łańcuszków, wszystkiego można się domysleć, ale najtrudniej nazwiska.

Napoleon I, ten wielki mocarz świata, wiadomo, że pisał i podpisywał się tak, iż niewielu tylko było fachowych znawców, którzy go odcyfrować mogli, ale nie każdy może się porównywać z Napoleonem i powoływać na jego przykład.

Zecerowie w drukarniach i redaktorzy gazet mogą bardzo wiele opowiedzieć, ile mają męki i pracy, zanim odczytają gryzmoły i hieroglify rękopisów, nadsyłanych do odczytania. Ile z tego błędów, pomyłek, a potem często pretensyi wynika!

Najlepsi nieraz pisarze, uczeni, historycy i powieściopisarze pisali i piszą tak, że trzeba nowego Champolliona, żeby ich odczytał.

Starsze pokolenie warszawskie pamięta np., że znamienity nasz historyk, Julian Bartoszewicz, miał w całej Warszawie jednego tylko zecera, który był w zdolny czytać i składać jego rękopisy. Ktoś mieszkający w Poznańskiem otrzymawszy od Bartoszewicza list, w pewnej bieżącej kwestyi literackiej, wymagającej śpiesznego załatwienia, a nie mogąc w żaden sposób odczytać jego listu, musiał odwrotną pocztą, wyraziwszy milion przeprosin, błagać go o polecenie komu przepisania tego listu czytelnie, bo inaczej nie dałaby się kwestya załatwić.

A proszę teraz wziąć kajety uczącej się młodzieży, notaty studentów uniwersytetu, listy prywatne!

Jest to formalna klęska kaligraficzna! Niby to na pozór podrzędna sprawa, — a jednak ile w życiu codziennem sprawia utrudzeń i niepotrzebnej straty czasu!

Czego to jest objawem?

Tylko niedbalstwa.

Ilu młodych ludzi, nie umiejących pisać kaligraficznie, pozbawionych jest możności zajęcia płatnego w biurach handlowych, w bankach, w przedsiębiorstwach przemysłowych jedynie dla tego, że bazgrzą jak kury!

Dotychczas, za mało na tę, niby drobną, kwestyę wychowawczą, a jednak w następstwach swych ważną, zwracano uwagę zarówno w szkole, jak w domu.

W domu dzieci kaligrafii nie lubią.

Przychodzi później w wyższych klasach masaroboty, pisaniny, ćwiczeń, wypracowań, na gwałt w godzinie oznaczonej mających być skończonymi, więc pośpiech konieczny w pisaniu. Gdzie tu czas myśleć uczniowi o kaligrafii? W uniwersytecie jeszcze gorzej, jeszcze pilniej. Profesor mówi z katedry — trzeba notować szybko, na gwałt (o ile się stenografii nie umie — co bywa rzadko). Więc wszystko się składa, żeby tę trochę prawideł kaligraficznych z pierwszej i drugiej klasy zapomnieć i zaniedbać.

Tak jest wszędzie prawie, nietylko u nas, ale i zagranicą.

Otóż w tej sprawie mamy bardzo interesujący fakt do zanotowania. Wyszedł z Prus, od Niemców, którzy pomimo swych wielu stron ujemnych, mają jednak zawsze zmysł porządku i praktyczności w swej naturze. Niepodobna im tego nie przyznać, choćby ich się najbardziej nie lubiło za tysiąc innych rzeczy.

Minister oświaty w Berlinie wydał takie rozporządzenie do wszystkich zakładów naukowych średnich i wyższych.

Przytoczywszy niedogodności, wynikające w życiu, w służbie rządowej i społecznej z powodu zaniedbania w wyrobieniu u młodych ludzi charakteru pisma czytelnego i porządnego — nakazuje stanowczo, żeby odtąd zwracano najpilniejszą uwagę na porządne i czytelne pismo wypracowań, ćwiczeń i t. p., podanych przez uczniów, a zwłaszcza na czytelność podpisów, i żeby tego surowo od nich wymagano. Nieporządnie i nieczytelnie pisanych wypracowań nie pozwala wprost uwzględniać ani przyjmować. Jeżeli uczeń wyższej nawet klasy pisze źle i niekaligraficznie, to musi się nauczyć kaligrafii. Jeżeli przy ukończeniu szkół jeszcze okazał się niekaligraficznie piszącym, zwłaszcza w podpisaniu nazwiska, to w świadectwie dojrzałości ma to być wyraźnie odnotowane.

Niepodobna zaprzeczyć, że wydanie takiego przepisu szkolnego przez ministra oświaty, może wiele bardzo pomódz do zaprzestania lekceważenia sobie nauki porządnego i czytelnego pisania. Ale najlepiej wziąć się do tego zawczasu, kiedy najłatwiej ułożyć rękę i czasu do nauki starczy.

Dla zachęcenia do wprawy w kaligrafii, ogłaszamy w dzisiejszym dodatku konkurs na kaligrafię i pismo ozdobne.





Nigdy jeszcze skrzynka nie przyniosła mi tak wiele listów jak dzisiaj; stało się to skutkiem opóźnienia w wydaniu poprzednich numerów naszego pisma, które wynikało z tak przykrych przyczyn, że piskłeta moje darują i zwłokę i zwięźłość moich odpowiedzi. Radabym wszystkich was obdzielić ziarnem dobrego słowa, miejsca mam niewiele, ale zrobię jak sroczka, o której małe dzieci szczebiocą, że „dała temu na miseczkę, temu na łyżeczkę, temu w skorupczkę a komu nic nie dała, tego choć skrzydełkiem muskała“. Czyż Jaskółka ma być gorszym ptakiem-matką od sroczki? Obdzielę was wszystkich.

Zaczynam od nowych, jest ich pięcioro, tu prym należy się **Ognistej z nad Pilicy**, której dwa listy schowałam jak bardzo miły dokument i proszę Anioła Stróża niech i nadal czuwa nad naszą korespondencją, bo Ognista przez zbytnią skromność gotowa fałszywie dać mi o sobie mniemanie.

Nie cichutko do ucha, ale głośno czarne na białym wypisuję **Aldono**, że podzielałam twoje zapatrywania i powtarzam za tobą „Czas wszystko zrobić“, a gdy się z kimś sympatyzuje myślą to i o zgodność uczuć łatwo, prawda?

Ryś z nad Niemna ucieszył mnie bardzo swoim listem. Zagadki „Wieczory“ przyjmują chętnie, jeśli dobrze ułożone, powieść jeszcze nie prędko się skończy; co zaś do trzeciego pytania to zdaje mi się, że członkowie opieki nad zwierzętami płacą 5 rub.

Pomyśl **Ah-ni-ghi-to** czy kiedykolwiek piskłat może być za dużo w gnieździe? moje pomieści was wszystkie, więc pisz o tem jak udają ci się wyprawy na drzewa i płoty.

Kukułko z za wody, tak zmieniam twój pseudonim, pisz Kukułeczko, donoś dużo o Dąbrowie, bo znam tę miejscowość i bardzo mnie ona interesuje, donieś zwłaszcza, czy szkaradny reumatyzm już minął.

Długo czekałam na list twój kochana **Lillo Wenedo**, przysłyż aż dwa, obszerne, nie zmniejszyły jednak mego niepokoju o twoją przyszłość. Leciabym do was, ale nie mogę, wierzaj Lillo, i obie z Zosią zachowajcie mi życzliwość waszą.

Serduszek o smutną potracił nutę, słusznie się oburzasz, ale niesłusznie uogólniasz sąd po jednym fakcie. Wiary w szlachetność serc młodych nigdy tracić nie należy, ja ją mam i dlatego jesteście mi drodzy, że w nich przyszłość świata widzę.

Czy się to godzi **Lilijko Wodna** cały rok nie zaświegotać do Jaskółki, myślałam, że zmarzył moj kwiatek, a on budzi się z wiosną i pyta o powiastki. Wieczory chętnie je drukują, gdy są ciekawe i dobrze napisane.

Chętnie też **Primulo** wskazałabym ci błędy, skoro jesteś rozumnym kwiatkiem i sama o to prosisz, ale nie znalazłam ich wcale, pisz zawsze bez brulionu,

bo takie listy najmiłsze, powiedz Czesiowi, że Jaskółka gotowa z własnego skrzydła pożyczyć mu pióra, może to zachęci go do korespondencji, na którą czekam niecierpliwie.

Nie jesteś unikatem **Staruszeko Lili**, mam między korespondentkami starsze od ciebie i już narzeczone. „Wieczory“ czytane bywają przez osoby wiekiem daleko od młodych stojące, a tylko interesujące się słusznie pismem, które ma poważne zadania i stara się je spełniać wedle sił. Na pytania twoje odpowie redakcja, przesyłając zarazem żądany adres.

Zazdrość to brzydka wada, a jednak zazdroścę **Swojskiemu Piskłeci**, że może żyć z ludźmi tej miary co mieszkańcy Janowa, zazdroścę szopki i teatru wśród wiejskich dzieciaków. Czy naprawdę twoja przyjaciółka boi się Jaskółki, a przecież to ptak bez szponów i pragnie pozyskać serce Ludki.

Nie zapomniałam cię **Czarny Bratku**, choćby dlatego, że doskonale opisałaś historią miejscowości, którą zamieszkuje, martwiłam się tylko bo chorowałaś ty i twoja mamusia, ale było to już dawno, teraz kiedy zdrów jesteś, kwiateczku, pisuj częściej. Numer 5-6 pisma wysłała redakcja pod wskazanym adresem.

Wybornie i ślicznie pismem odpowiedziałam na moje pytanie **Ligio staruszeko**. Teraz ja z kolei postaram się wytłomaczyć ci, dlaczego dodałam przymiotnik do twego pseudonimu. Mam już jedną Ligię w naszym gronie, że zaś wszystkie piętnastoletnie korespondentki nazywam Staruszkami, więc i ty staruszką zostałam, a myślę, że sędziwy wiek nie odbierze ci ochoty do częstego pisywania listów, o które proszę.

Do ciebie **Królewianko** stosuje się także uczucie zazdrości wypowiedziane **Swojskiemu Ptaszcę**, a widzę, że zdania nasze się schodzą, że cenisz to, co mnie tak zachwyca w waszym otoczeniu: Powiedz **Matemu Polakowi**, że zuchy nie płaczą nawet wtedy, kiedy im felczer pendzluje gardło i uściskaj go od Jaskółki.

Dziękuję **Wajdelotko** za szczegóły o swej rodzinie, bardzo mnie zajęły, nie rozumiem tylko, dlaczego jesteś smutna, kiedy wesołość to taki cenny przymiot. Spróbuj, zamiast rozmyślań zająć się jaką ubogą dziewczynką, nieśmiertelność pozyskać można dobrymi uczynkami, nie tylko poezją.

Jagienkę z pod Drobina zaniósłabym na skrzydłach do redakcji, aby sama przed tym surowym areopagiem upomniała się o komedyjkę, której pragnie. Co zaś do siły, słusznie cenisz ten przymiot zwłaszcza jeśli, jak piszesz, pomoże ci dźwignąć słabych i być im podporą.

W kilkunastu listach moich piskłat spotykam to samo pytanie, które zadajesz i ty **Nawojko z nad Huczwy**. Łzy, ból zwiększyły nędzę, więc o niej myśleć należy.

Niewesołe i twoje wiadomości **Kurpianko** szkarlatyna jest groźną chorobą, zwłaszcza gdy po wiejskich gnieździ się chatach, gdzie niema komu i prawie niema możliwości rozumnej nad dziećmi rozciągnąć opieki. Straszny to wróg matek!

Mały pisze tak starannie, że niejednego dużego powstydziliby się jego kaligrafii. Dzielę twój gust do podróży, tymczasem czytaj wyprawę posiadacza Talizmanu Władzy, a potem może sam wyruszysz w świat, pamiętaj tylko, zuch, własny kraj poznać przedewszystkiem.

Milutki twój liścik **Goplano**, milutkie i to, że nazywasz mnie ptaszkiem przyjaciелеm, bo pragnę nim być dla was wszystkich, piskłeta ukochane. Co zaś do

cnoty, jaką najwyżej cenię, zgadzam się z tobą, że miłość wszystkie przewyższa i wszystko ułatwia.

I dziś krótką odpowiedzią zadowolnić się musisz **Cechno**, tobie zaś **Pensyonarko** radzę czytaj **Mickiewicza**. Będzie to pewnie zgodne z życzeniem naszej przewodniczki, a ty nauczysz się przytem kochać wszystko co piękne i dobre, rozumieć wszystko, co myśl ludzka objąć potrafi.

„Smutno pomyśleć, że biedacy, którym dotychczas na tani chleb ledwie starczyło pieniędzy, teraz będą zmuszeni drogo go kupować“. Przytaczam słowa **Mgławicy** i tulę ją skrzydłami za to, że sama syta rozumie okropność głodu.

Marki zużyte **Niezapominajko** leśna odsyłamy Misyom, co zaś do zamiłowania w powieściach historycznych, to dzielę je z tobą. Na nowo czytam **Krzyżaków**, a czy wiesz, że pole **Grunwaldu** przeszło teraz drogą sprzedaży z niemieckich rąk w polskie?

Kochana **Prządka złotych nici** umie godzić zabawę z pamięcią o biednych, bo wyrzekła się nowej sukni, żeby oddać pieniądze głodnym. Umiej złocić szare nici błyskami szlachetnego serca a baw się przytem, zabawa po pracy należy się młodym.

Pod moje skrzydła garnie się **Powiślanka**, a to ja chciałabym pożyczyć skrzydeł od twoich bliskich, bo umiecie krążyć górną „ponad kałuże, błota i przepaści“ serca podnosić ku szlachetnym celom. Więc czemu lękasz się skowronku dobrej wróżby, dzwoń radosną przegrywkę wiosny, może dobre losy pozwolą kiedy **Jaskółce** zafrunąć w wasze strony.

List wasz **Dadzibożki** kochane taki serdeczny i miły, że miałam ochotę pocałować kwiatki, które mi w nim przysyłacie. Odczuwam twój zapach **Halszko** do dalekich podróży i **Marylki** zamiłowanie „w czubaty kurkach“, niech każda z was zachowa swą indywidualność. a tylko stara się jaknajbardziej ją rozwinąć. „Piskłeta swoje liczysz na setki, musisz je chyba bardzo kochać kiedy tyle wyżywić możesz“ piszesz **Halszko**. Zamiast odpowiedzi przytuliłabym cię do serca, żebyś odczuła, że bije dla wszystkich młodych, bo w nich nadzieja gniazda, a kocha bardzo swe gniazdo

wasza **Jaskółka**.



ZE ŚWIATA.

Mieszkańcy tajg. Tajgą nazywają olbrzymie przestrzenie leśne w Syberji, które na pół-

noc dotykają bezleśnych, błotnistych latem tund. Kolej syberyjska przyczyniła się do użytkowania bogactw leśnych tajgi i do pew-



Mieszkaniec tajgi na reniferze.

nego postępu w rozwoju jej mieszkańców. Rycina przedstawia młodego mieszkańca tajgi, jadącego konno na reniferze na stację kolei żelaznej.



Od Redakcyi.

Do tego numeru dołącza się zeszyt drugi (arkusz 7—12) dodatku z powieścią „Wśród swoich“ **J. Piaseckiej**.

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

TREŚĆ: Dziewczę do pieśni (wiersz z ryciną). — Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskiego (**Maciej Strykowski**). — Przygody **Imé Pana Mikołaja**, przez **Z. Morawską**. — Król hiszpański, **Alfons XIII**, używający przejażdżki na wielbłądzie (ryc.) — **Henryk Wernic** (z portretem) przez **J. B.** — **Talizman władzy**, przez **Wawrzyńca Zeała** (przekład **M. G.**) — **Dbajmy o kaligrafję**. — Skrzynka do listów. — **Ze świata**. — **Mieszkaniec tajgi** (rycina). — **Dodatek:** **Ah-ni-ghi-to** z ang. przez **M. G.** (z ryc.) — **U chomika** (wiersz) — **Kto lepszy?** przez **M. R. S.** — **Zadania i łamigłówki**.

Redaktorka **Ludwika Hauke**. Wydawczyni **Marya z Chomentowskich Balińska**.